

Papageno między mangą, horrorem a starym kinem

„Czarodziejski flet” Mozarta w Operze Narodowej to brawurowa, imponująca wizualnie realizacja.

W przygotowanym przez Australijczyka Barriego Kosky’ego światowym przeboju wielkie kreacje wokalne tworzą Polacy.

ANNA S. DĘBOWSKA

Ostatnie dzieło sceniczne Mozarta (1791) wróciło do Teatru Wielkiego w Warszawie po dziesięciu latach.

Barrie Kosky, który nazywa siebie „koktajlem wschodnioeuropejskim” (ma żydowskie, białoruskie, rosyjskie, polskie i węgierskie korzenie, fascynowali go Grotowski i Kantor), wyreżyserował „Flet” cztery lata temu w Ko-

mische Oper w Berlinie, gdzie jest dyrektorem artystycznym. Spektakl robi furorę w wielu krajach.

Czym jest „Czarodziejski flet”? Nie ma łatwej odpowiedzi. To bajeczka dla dzieci i infantylnych dorosłych, farsowy melodramat o dwóch kochających się parach (Tamino i Pamina, Papageno i Papagena) pokonujących przeszkody na drodze do miłości. I opowieść o dojrzewaniu, próbie przyjaźni. Ale niektórzy widzą w „Czarodziejskim flecie” operę z kluczem.

Mozart zmarł w grudniu 1791 r. w niewyjaśnionych okolicznościach, kilka miesięcy po prapremierze „Fletu” w Wiedniu. Głównym oskarżonym był jego rywal Antonio Salieri, ale podejrzewano też wolnomularzy, którzy mieli jakoby zemścić się na Mozarcie za ujawnienie w operze tajemnic łoża, do której sam należał.

Kosky przygotował brawurowe przedstawienie, w którym żongluje

elementami ekspresjonistycznego kina niemego, komedii slapstickowej, kreskówki, mangi, aluzjami do popkultury. Z poczuciem humoru balansuje na granicy kiczu. I trafia w sedno. Siłą napędową absurdalnego libretta, które Emanuel Schikaneder napisał z myślą o niewybrednej publiczności teatrzyku bulwarowego, jest muzyka - jest zawsze w ruchu, w akcji i w tym sensie doskonale teatralna. Mozart miał genialne wyczucie sceny; to przecież muzyka, grana na flecie i dzwoneczkach, ratuje z opresji Tamina i Papagena.

W ujęciu Kosky’ego libretto jest zaskakująco proste i logiczne. Widz nie musi sobie łamać głowy absurdalnymi zawilóściami akcji. Uderza też jakość realizacji, precyzyjne i harmonijne połączenie teatru żywego planu z animacjami (zasługa Suzanne Andrade i Paula Barritta). Kosky nie wykorzystuje głębi sceny, śpiewacy gra-

ją tylko na proscenium i na kilku kondygnacjach ściany dekoracji, która jest zarazem ekranem dla animacji. Zamiast partii mówionych mamy napisy, w tle słychać grane na fortepianie historycznym utwory Mozarta, jak akompaniament tapera w starym kinie.

Świetnie ustawiona jest postać Papagena, pokazywanego zawsze jako prostaczek, którego ideał to seks, alkohol i mocne przeżycia. U Kosky’ego Papageno (świetny baryton Bartłomiej Misiuda) to smutny klaun w kostiumie Bustera Keatona, pechowy kochanek, któremu towarzyszy animowany czarny kot. Kosky eksponuje miłość, pragnienie więzi, przekonanie, że człowiek nie może być sam - zgodnie z przekonaniem samego Mozarta, który był człowiekiem bardzo rodzinnym.

Rewelacyjny jest też pomysł na drugoplanową postać Monostatos - w oryginale ten zły sługa czarownika Sarastro jest przedstawiony jako Murzyn.

Tu Monostatos to blade wampiry w czarnym płaszczu, Nosferatu z filmu F.W. Murnaua, znakomicie zaśpiewany przez Mateusza Zajdla. Królowa Nocy (w tej trudnej partii dobrze wypadła Aleksandra Olczyk) to modliszka, czarownik Sarastro (bas Rafał Siwek) to uosobienie XIX-wiecznego patriarchy, strażnik krzywdzącego dla kobiet prawa w cylindrze i surducie.

Szczególne uznanie należy się Iwonie Sobotce w roli Paminie stylizowanej na Louise Brooks, gwiazdę filmu niemego. Skarga Paminie, przekonanej o zdradzie ukochanego i próbującej popełnić samobójstwo, zabrzmiała w wykonaniu Sobotki tak przejmująco, jakby to była pieśń Franciszka Schuberta z „Winterreise”, cyklu o samotności, obłędzie i śmierci.

Solidnie od strony muzycznej przygotował spektakl dyrygent Piotr Staniszewski, świetnie zabrzmiał chór Teatru Wielkiego. ●